Nr. 1. Lwów, —— 1894 r. **Wydawnictwa Rok XVII.**

GONIEC i ISKRA

(Dziennik dla wszystkich.)

Czasopismo illustrowane.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 8. i 23. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobn pismo humorystyczne *illustrowane* p t. **Wesoły Kurjerek** wychodzące dwa razy na miesiąc, 1. i 15., oraz osobne powieściowe co miesiąc **Dodatki** Prenumerata na **Gońca** i **Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem** i **dodatkami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów „Gońca i Iskry“ kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki*. W Poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce półnoeznie 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych*, lub także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: M. D. Chamski.



Adam książę Sapieha

Prezes Wystawy Powszechnej Krajowej we Lwowie.

(Patrz artykuł pod tymże tytułem).

Z bojów.

W prawicy carskiej, z którego-bądź wieku
Wykute z rabów miljonowe wojska,
Acz swoje — siła to wcale nie swojska...

Bo zwierz grasuje w „sołdackim“ człowieku...
Ducha, w nim dotąd — nie zdybali jeszcze,
Ni ich „hramotni“, ani nasi wieszcze.

Dzika ta swoim i cudzym — potęga,
Pędzona pięścią drapieżną i wściekłą!
Może upadłych, pogrążyć aż w piekło...

Lecz tam... gdzie życie, w cały naród sięga,
Miecz ślepy — zawsze bezwładnym zostaje —
Czy nim, żelazo — czy z nim, ślepe zgraje...

W cały on naród, z piersią jednolitą,
Śmiertelnych ciosów, nigdy nie wymierzy!
To zbójca tylko — dla garstki rycerzy:

Co jak lwy biegną! aby krawe myto
Spłacić w obronie prześwietnej Ojczyzny!
Których tryumfy i męczeńskie blizny

Skroń im uwieńczą, lub ich złożą w grobie.
...Bój wre... a tamci, co zostali doma,
Choć na nich, właśnie — ta czerń, tak łakoma

Nie pragnąc sami, być zbawieniem sobie,
Za rodnej braci, ukryli się tarczą —
Z nimi — fałsz, trwoga — jak upiory warczą..

...Wtem — tarcza pęka! ze sztandarów strzępy
Łupieżca, mordem rozszalały wpada!
Miażdży! a w pomoc nadbiega mu zdrada...

Na jęk i modły — słuch on ma za-tępy!
Zwyczajnie — jako machina druzgoce:

. . . .

Aliści inna z wrogiem wonczas sprawa,
Gdy naród, jako organizm atlety,
Wraz, całym sobą — na kute bagnety!

Armatnie paszcze! całym sobą, stawa!
Tak mąż dojrzały, starzec, tak i dziecko,
Niewiasta — razem! na hordę zbójecką!

Wszędy i zawsze — o każdej godzinie...
Ze snu go zrywa, strawę z kłów wydziera —
Jak orzeł, połos, lewiatan... pantera!

Z tajnych kraterów, jako lawa płynie —
I broń tę chwyta — co natura dała:
Z ogniem! w prochownię, grzmotnie drużba
[śmiała!

Roztrzaska groble — i na własne niwy
Lunie potopy fali wyuzdanej —
I wszech żywiołów rozkiełzna kajdany!

W perzynę! wszystko... i w chaos straszliwy
Gdzie wieś — tam łuna... i w pożarech bory —
A „Sycylijskie" po grodach „Nieszpory"!

Zaś — by szarańczę wytępić do szczętu!
Przyroda matka, z ludem się pokuma...
I od niej wtargnie — sojusznica — dżuma!

. . . .

O! gdzie-żeś wodzu?! byś z tego odmętu
Wybrnął pogromcą! i zabór wywalczył,
Choćbyś się w każdym — i w stu: rozpadalczył!

I byś morderczych wynalazków krocie!
Do tych napłodził — co masz w swojej mocy —
Padniesz!! a z tobą, fałszywi prorocy!

Franciszek Lasocki.

Adam książe Sapieha.

Prezes powszechnej wystawy krajowej we Lwowie.

(Do portretu)

Nazwisko księcia Adama Sapiehy od wczesnej młodości związane jest ze wszystkiem, co się w społeczeństwie polskiem robiło — od krwawych zapasów z wrogiem aż do pracy cichej, spokojnej, ekonomicznej, której rezultaty kładą trwałą podstawę pod lepszą przyszłość całego narodu. Służenie dobru publicznemu, polskiemu dobru, odziedziczył książe Adam od ojca swego księcia Leona, oficera wojsk polskich z 1830—1831 roku, któremu car Mikołaj skonfiskował majątki, ale nie złamał jego patrjotyzmu i siły woli, czego dał dowody, gdy się przeniósł do Galicji i zajął tak wybitne stanowisko na polu pracy publicznej. Książe Adam Sapieha przebolawszy krwawe wypadki 1863 r., w których brał czynny udział, był więziony i przebywał na emigracji — stanął, można powiedzieć, na czele przemysłu krajowego w Galicji, dając z siebie przykład, że bezczynność kapitałów, równie jest szkodliwą, jak i ich trwonienie. Olbrzymia fortuna książąt Sapiehów — to przedsiębiorstwa, lub kapitały, które służą rozwojowi gospodarstwa krajowego w najobszerniejszem znaczeniu tego pojęcia, począwszy od domowego przemysłu, a skończywszy na szerokich przedsiębiorstwach finansowych i fabryczno-przemysłowych. Po za obrębem rdzennych interesow ekonomicznych wyrabiających produkcyjne siły w kraju — książe Adam Sapieha i, wogóle Sapiehowie, kapitałów swoich nie poświęcają.

Wybór księcia Adama Sapiehy na prezesa powszechnej wystawy we Lwowie, mającej się rozpocząć dnia 1. czerwca b. r. — jest, nietylko, aktem hołdu dla patrjotycznych zasług księcia, lecz tak odpowiednim, tak stosownym w danej chwili, że na tem stanowisku nie widzimy nikogo, któryby mógł go zastąpić.

Cała Polska wybór ten przyjęła z prawdziwem uznaniem, bo obok mitry książęcej, są tam cnoty, ta wytrwałość, ten mądry, głęboki, a bezwarunkowy patrjotyzm, które nie wszędzie i nie zawsze są tam, gdzie być powinny...

Opinja publiczna polska wierzy w wystawę lwowską, a wierzy tembardziej, że stanął na jej czele mąż, który z pewnością do sprawy niedojrzałej i zawczesnej ręki by już nie przyłożył...

Tyle na dziś z powodu nowej wystawy. W następnym numerze powrócimy do tego samego przedmiotu.

Od ręki.

= Skandal...

Smutnego rozgłosu zażywa tak nazwane towarzystwo „Moniuszki" w Stanisławowie... Wybudowało ono gmach teatralny *z publicznych składek* i tak go lekkomyślnie, z kopyta obdłużyło, że założyciele odrazu zaczęli śpiewać Tadeusza... Każdy z nich śpiewał na swoją nutę, a wszyscy śpiewali fałszywie. Rzepę sadzić takim panom, a nie bawić się w mecenasowstwo sztuki, o której mają takie pojęcia, jak hotentot o tataraku... Do gmachu swojego zwabili znanego i jednego z najznakomitszych artystów polskich p. Lucjana Kwiecińskiego, który osiadł tam i założył teatr im. Aleks hr. Fredry. Pomijając już tę okoliczność, że złudnemi nadziejami uśpili przezorność dyrektora teatru i obłożyli go czynszem tak wysokim: trzydzieści kilka renskich od przedstawienia, gdy subwencjowany teatr lwowski płaci rocznie 2.000 zł. i 600 zł. na asekurację — pomijając tę okoliczność, sama ludzkość, jeżeli już nie miłość dla sztuki polskiej, nakazywała, obniżyć ten haracz w następstwie, skoro się pokazało, że teatr stanisławowski takiego wyśrubowanego czynszu płacić nie może mimo energicznej, wysoce umiejętnej i znakomicie prowadzonej dyrekcji. Publiczność stanisławowska, trzeba jej oddać sprawiedliwość, popierała teatr i na każdym kroku okazywała dyrektorowi bezwarunkowe uznanie i gorącą sympatję. — To samo należy powiedzieć, o stanisławowskiej radzie miejskiej, radzie powiatowej, kasie oszczędności, które, nawet małemi subwencjami przychodziły z pomocą teatrowi im. Al. hr. Fredry; ale warunki wśród których dobrze prowadzony teatr na prowincji pracować musi, są twarde w obec różnolitej populacji i teatr taki potrzebuje dłuższego czasu, aby się zdołał zakorzenić i ustalić.. Jednak p. Kwieciński szedł dalej — pracował dzień i noc — i włożył całą duszę obywatelską i artystyczną w swoje przedsiębiorstwo. Wkrótce też teatr im. Al. hr. Fredry stał się wzorowym teatrem prowincjonalnym i posiadł wszystkie cechy *stałego* teatru pod każdym względem, a jeżeli nie imponował błyszczącymi indywidualnymi talentami, to zadziwiał całością, wyborowym repertuarem i taką artystyczną parą, jak dyrektor i jego małżonka — chluba sceny polskiej w ogóle. To wszystko nie zdołało przemówić do wyobrażeń stanisławowskich „finansierów" i zamiast przyczyniać się do rozwoju, poczęli bezwzględnie zaciskać pierścień i dzieło istotnej narodowej doniosłości, które z takiem poświęceniem, rozumem, pracą i talentem podjął Kwieciński, zniszczyli, zaprzepaścili i zmarnowali w sposób wołający o pomstę do nieba...

Nie mówmy o patrjotyzmie, bo to, przypuśćmy, frazes — ale, jeśli czynsz okazał się w praktyce tak drapieżny dla przedsiębiorstwa teatralnego, że zaledz musiał — czyż zdrowy rozsądek nie nakazywał, aby go odpowiednio zmniejszyć, a dług z przeszłości powstały rozłożyć na drobne raty spłacane w ciągu dłuższego czasu? Towarzystwo nicby na tem nie straciło, postąpiłoby oględnie, uczciwie i po obywatelsku — a teatr rozwijałby się dalej, zwłaszcza, że podróż po innych większych miastach galicyjskich, zasiliłaby, niezawodnie, fundusze dyrekcji...

Dla stanisławowskich „melomanów" grających na różnych instrumentach i niektórych innych — uśmiechało się, jednak, przyłożenie noża do gardła i pewnego pięknego poranku, a było to przed samemi świętami Bożego Na rodzenia, oświadczyli na piśmie dyrektorowi, że, jeżeli „do jutra" nie zapłaci zaległego czynszu, nie pozwolą dalej dawać przedstawień.

Na takie *dictum acerbum*, dyrektor Kwieciński gażę artystom, co do grosza, zapłacił i ustąpił... Jakie będą dalsze losy tego teatru — nie chcemy przesądzać, to pewna, jednak, że ustąpienie Kwiecińskiego, jest niepowetowaną klęską i, że na sumieniu zarządu towarzystwa Moniuszki w Stanisławowie pozostanie ona plamą, z której się nie tak prędko obmyć będzie można... W ogóle, zapytać się godzi, jakiem prawem, budynek postawiony z publicznych składek, pod względem natury zarobku, puszcza się na drogi wręcz przeciwne interesom narodowym naszego społeczeństwa?... Czy na to gromadził się wdowi grosz, aby za niego stawiać przytułek dla niemieckiej operetki i żydowskiego teatru? Czy wynajmowanie na podobne przedstawienia, krzywdzące nasze rdzenne narodowe interesa, może być motywowane koniecznością spłat długu zaciągniętego na budynek?... Kto prosił tych panów „budowniczych", aby z grosza publicznego stawiali przytulisko dla podkasanej niemczyzny i żargonu żydowskiego i to w gmachu noszącym nazwę genjalnego kompozytora polskiego?... Nawet rodzina Moniuszków ma prawo zaprotestować i nie pozwolić na takie praktyki...

Gdy całe społeczeństwo polskie zębami i rękami broni się od ciosów nieprzyjaciół swoich, nadludzką siłą zdobywa piędź za piędzią, krwawi się w zapasach o swój byt, o swoją przyszłość, o swoją narodowość — jacyś niepowołani opiekunowie sztuki polskiej nadużywają publicznego zaufania, krzywdzą ją i psują bezmyślnie to, co ludzie dobrej woli, rzetelnego patrjotyzmu i prawdziwych talentów chcą, mogą i powinni robić!..

Jeśli w tem wszystkiem nie ma złej woli, a ostatecznie, wierzymy, że niema — lekkomyślność, niedołęstwo, obskurantyzm i kołtuństwo, zdolne są zrobić, jeszcze więcej złego, jak sama zła wola, na którą zresztą, w otwartej walce, znajdą się zawsze siły i środki, aby ją pokonać...

Przestańcie więc, panowie, bo się źle bawicie i pamiętajcie, aby was nie zmuszono do zaprzestania takiej „patrjotycznej" farsy, która się może bardzo tragicznie skończyć...

= Coś tam nie tak, jak się gadało i pisało...

Wśród polonji amerykańskiej, co raz częściej spotykamy się z ostremi wystąpieniami przeciw panu Dunikowskiemu, który niedawno odbywał podróż po Ameryce. Niedawno p. Dunikowski umieścił jakąś korespondencję ze Lwowa w jednym z tamtejszych polskich tygodników. Otóż, *Kurjer Polski*, pismo codzienne, wychodzące w Milwaukee, gazeta poważna, dobrze, spokojnie i z taktem redagowana, a przytem bardzo rozpowszechniona — z powodu wyżej wzmiankowanej korespondencji, między innemi, taką odprawę daje panu Dunikowskiemu:

„Pan profesor, widocznie, jak w swoich sprawozdaniach i referatach, tak i w owej korespondencji zapomniał przedstawić polaków i stosunki polskie w Ameryce takimi, jakimi w rzeczywistości są, a odmalował je tak, jak jemu, po pobieżnem na nie spojrzeniu, wydają się.

P. Dunikowski powiada, że polacy amerykańscy, choćby się na niego gniewali, powinni w wystawie lwowskiej udział wziąść... Taką skromność pochwalić należy. Ktoby, bowiem, jedynie z powodu nieporozumienia z panem Dunikowskim nie chciał wziąść udziału w wystawie lwowskiej, ośmieszyłby się tak samo, jak każdy europejczyk, któryby nie był wziął udziału w wystawie chicagoskiej dla tego, że był w nieporozumieniu z jakimś tam profesorem uniwersytetu chicagoskiego.

Z powyższą skromnością licuje także wielce ofiarność pana Dunikowskiego. Powiada, że byłby pawilon polsko amerykański „sam, z własnej kieszeni" (!?) pobudował, ale nie chciał polaków w Ameryce zawstydzić... Gdybyśmy my tu, polacy w Ameryce, coś podobnego powiedzieli, w Galicji nazwanoby to, niezawodnie, „blagą amerykańską". My, jednak, wierzymy mocno i szczerze, iż w obiecance pana Dunikowskiego, co do pawilonu, jest tyle szczerości, ile było w jego obietnicy przysłania nam — milionów na szkoły polskie w Ameryce...

Nie chcąc zaś uchodzić za niegrzecznych, chcemy się panu Dunikowskiemu odwdzięczyć życzliwością za życzliwość, radą za rady... Polacy w Ameryce, mianowicie dziennikarze, to — jak pan profesor sam pisał — „czupurny lud", a dla takich ludzi niebezpiecznie być rozjemcą, Dla tego my, będąc na miejscu pana Dunikowskiego, nie mieszalibyśmy się do polemiki tutejszych partyj i partyjek domowych, a tem mniej występowalibyśmy przeciw tej, lub owej partji, lub osobie, choćby nam nawet nieprzychylną była. Mogłaby się tu, bowiem, znaleść jedna, druga i trzecia gazeta, któraby pana Dunikowskiego działalność publiczną, jako szkodliwą ogółowi, przedstawiła. Gazety polsko-amerykańskie, są pod tym względem trochę śmiałe i nie zbyt grzeczne: dla

tego my, nie należący, ani do mniemanych, ani do rzeczywistych nieprzyjaciół pana Dunikowskiego, ale zawsze dla niego życzliwi, radzimy mu, aby od mieszania się od polemiki domowej polaków w Ameryce wstrzymywał, a przysłuży się tem nie tylko własnej osobie, ale więcej jeszcze — *wystawie lwowskiej*".

= Rusini w Ameryce.

Rusinów mieszka najwięcej w Pennsylvanji, jest ich, jednak, po trochu i w innych stanach.

„W Kalifornji, obok miasta Hayward, w malowniczej górskiej okolicy, mieszka od lat już 20 w futorze „Ukraina" ksiądz Honczarenko, rusin kijowski, prowadzący od czasu opuszczenia kraju zawziętą walkę z rządem rosyjskim, zrazu, jako organizator przeróżnych kółek rewolucyjnych na Wschodzie, później, jako wyznawca idei Bakunina odrodzenia Rosji przez Amerykę i Syberję. Osiadł on w Kalifornji na wspomnianej wyżej farmie „Ukraina", wydając przez lat kilka dwa pisma, poświęcone propagandzie rewolucyjnej na Syberji: „Alaska Herald" oraz „Swoboda" i szerzeniu idei ludowej oświaty.

„Przez całe życie swoje — pisze ksiądz Honczarenko w Chicagowskim dzienniku rosyjskim „Progres" — marzyłem o urządzeniu z wychodźców z pod carskiego ucisku trwałej podstawy do działania za wolność mojej ojczyzny i mam dotychczas jeszcze nadzieję, że marzenie moje nie jest utopią".

Liczbę wychodźców ruskich w Galicji i Węgier, osiadłych w Stanach Zjednoczonych, liczą na 120.000 — nieznaną jest natomiast, liczba wychodźców z Rosji.

O. Honczarenko, który, jak się zdaje jest duchową spójnią rusinów i liberalnych rosjan w Ameryce, zaznacza bardzo wybitnie, iż *nie jest rosjaninem*, lecz kozakiem, dumnym z przeszłości swojego narodu. W końcu powiada tak:

„Z pomiędzy wszystkich słowian na obczyźnie w przeciągu 12 lat tułactwa, spotykaliśmy tylko ukraińców i polaków zupełnie dojrzałych do politycznego samorządu".

Brazylijczyk.

(Szkic z natury).

Nazywał się Jakób Cifa, zajmował stanowisko pomocnika fornala w okolicach pod Lewiczowem, w mławskiem. We wsi znany był, jako „mądrala" i hulaka.

Z chwilą rozwinięcia się gorączki brazylijskiej należał do najgorliwszych rzeczników wyprawy za oceany.

Zebrał sobie kompanję, sam mając zaledwie kilka rubli z zasług, ale umiał tak lawirować, iż przedostawszy się za granicę, miał ich już dwadzieścia.

Pomagał w sprzedaży gospodarstw, stręczył żydom kupno krów, koni i — brał faktorne.

Jechaliśmy razem w wagonie do portu. Wszelkie przekonywania, iż jadą na zgubę, były grochem, rzucanym na ścianę.

W podróży Cifa niemniej zarabiał, jako „rozumnemu i cytakowi" (umiał czytać) powierzano różne komiąy. W Iłowie przy zmianie pieniędzy urywał towarzyszom fenigi, w drodze przynosił, proszony o to, piwo i inne artykuły.

Pamiętam taki fakt:

Do wagonu jednej ze stacji wpada Cifa ze dzbankiem i już we drzwiach krzyczy: „To ci zdzirusy te szwaby! za dwa kufle piwa wzięli markę, a kiedy zaconem sie upominać reśty, to ci mnie wyrzucili za drzwi". Zaczęło się ogólne narzekanie; najwięcej, naturalnie, narzekał ten, co posełał po piwo, stracił bowiem 80 fenigów... Cifa aż do Berlina opowiadał o „zdzirstwie szwabów" — święcie mu wierzono.

Pojechali... Cifę dobrze zapamiętałem: był to chłop sredniego wzrostu, dość tęgi, nosił się z mieszczańska.

Rozpoczął się powrót emigrantów. Nie zdobywszy złotego runa, przybywali do kraju zbiedzeni i schorzali... Znalazłem się na drodze partji, którą wyekspedjowali ks. Chełmicki i p, Glinka... W gronie powracających był i Cifa... Poznał mnie odrazu. — „A to pan, co nas tak odmawiali" — temi słowy przywitał mię na jednej ze stacji za granicą... Kiedy ogół powracających był zmizerowany, Cifa zachował swój humor, na piersiach marynarki, błyszczał mu jakiś medal srebrny, w klatce trzymał zieloną papugę, a na ramieniu, na sznurku, małpkę.

Nastąpiły zwierzenia. Na zapytanie gdzie jest owo złoto, które spodziewał się zdobyć, odpowiedział śmiało: „A cóż? zwiedziło się pół świata, to tyż coś warte, a papuga i małpa to nie pieniądz? sprzedam i zawsze będzie więcej, jak roczne za fornalke".

Zagabnięty, co znaczy medal na piersiach, opowiedział wspaniałą historję o napadzie „indjanów" na kolonję; sam stawił opór, zabił ich dwudziestu i za to od „głównego nacelnika rządu" dostałem „mendal"... Była to zwyczajna moneta, jeden milreis, czyli 1.000 reisów, z przebitą dziurką i przewleczoną tasiemką zieloną. Na każde zapytanie miał gotową odpowiedź, więc też towarzysze jego mawiali: „Cifa, co kuty, to kuty", W Mławie sprzedał przywieziony „inwentarz" i powrócił do wsi rodzinnej.

Tu rozpoczął żywot wesoły i próżniaczy. Cifa we wsi uchodził za powagę, bo zwiedził pół świata. W karczmie słuchano go z zajęciem, nie zwykł, jednak, opowiadać darmo.. — „A mało to mnie ta droga kosztowała!" wykrzykiwał. Zebrani słuchacze musieli coś włożyć do dłoni, postawić wódki, lub piwa.

W końcu zabrakło ciekawych, cała wieś umiała już na pamięć odyssejç Cify. Wówczas „bronzylijczyk", jak go powszechnie nazywano, wyruszył ze swemi „odczytami" do sąsiedniej wioski i tak w całym powiecie udawał... prelegenta.

Zarabiał tyle, ile mu na jego potrzeby starczyło, do żadnej zaś roboty wziąść nie chciał. Nosił ciągle na piersiach ów medal za „męstwo" i awizację władzy, która go wzywała do wyjaśnień o przejście granicy. Były to dla niego dowody, iż bawił w Brazylji i, że — musiał samemu „nacelnikowi opowiadać o swoich losach.

Nareszcie, zabrakło słuchaczów, w dalszych wsiach słuchać go nie chciano, mieli tam, bowiem, własnych... brazylijczyków...

Cifa rozpróżniaczył się na dobre, a nie mając z czego żyć, zapisał się do towarzystwa przyjaciół... cudzych koni.

Dzisiaj, zamknięty w czterech ścianach, rozmyśla... o zwycięstwach nad indjanami.

Podobnych typów emigracja ludowa wyrobiła nam więcej.

C. Bystrzanowski.

Uniwersytety w Anglji.

Przy rozmowie o uniwersytetach niemieckich nasuwa się, przedewszystkiem, na myśl— Heidelberg. Nad Ren ciągną co rok tysiące cudzoziemców i największe wrażenie robi na nich Heildelberg. Oprócz zamku, każdy przewodnik, jako rzecz godną widzenia, wymienia uniwersytet, nie zapominając przytem o kolorowych czapeczkach studentów i pokiereszowanych twarzach. To też podróżny każdego typowego niemieckiego studenta wyobraża sobie z czarnym plastrem na twarzy i rapirem, lub, przynajmniej, potężnym kijem w ręku. Do spopularyzowania tego typu niemało przyczyniło się bardzo rozpowszechnione pismo monachijskie „Fliegende Blätter". Dla cudzoziemców z tego powodu typowy uniwersytet niemiecki znajduje się zawsze nad Renem, a ruiny zamków stanowią w jego mniemaniu nieodzowną cechę miasta uniwersyteckiego.

W podobny sposób wielu podróżnych życie uniwersyteckie we Francji utożsamia z Sorboną, a Anglji z Oksfordem. Oksford i Cambridge, to dwa uniwersytety, o których coś nie coś wiadomo na stałym lądzie. Oksford, jest większy, a jego okolice pod względem piękności nie wiele ustępują okolicom Heidelbergu. W Oksfordzie wykładają: Maks Müller, Napier, Herkamer i uniwersytet ten posiada 24 kolegia, Cambridge zaś tylko 19. Takie wiadomości posiada, mniej więcej, każdy cudzoziemiec o tych dwóch uniwersytetach angielskich. Większość podróżnych przybywa do starego uniwersyteckiego grodu w początkach sierpnia, przed rozpoczęciem wakacyj zwanych „The long", przygląda się studentom bawiącym się, wiosłującym, lub zajętych boksowaniem, na chwilkę zajrzy do kolegjów szarych od starości, ale wewnątrz z wielkim urządzonych komfortem, przerzuci sporo książek i rękopisów i sądzi, że studenci angielscy bezwątpienia są bardzo uczonymi ludźmi, ale nię pogardzają także rozrywką i zabawami. Trzeba, jednak, wiedzieć, iż Oksford i Cambridge nie mogą uchodzić za miasta typowe pod względem życia uniwersyteckiego. Przedewszystkiem, nie są to uniwersytety największe w państwie, a system tak zwany „kolegij" i wspólne mieszkania w gmachach, przypominających klasztory, można widzieć tylko w jednym jeszcze Trynity-College w Dublinie. Oksford liczy 3.000 studentów, Cambridge 2.800, Edynburg 3.800, Glazgów 2 300. Uniwersytety w Durcham, Viktoria, w Manchesterze z uniwersytetami edynburskim i glazgowskim posiadają $^2/_3$ ogólnej liczby studentów w Anglji. Otóż, cała ta masa studentów mieszka prywatnie i dla nich, tak, jak dla studentów niemieckich, uniwersytet jest niczem więcej, jak tylko gmachem, gdzie słuchają wykładów.

Oba starożytne uniwersytety w Oksfordzie i Cambridge, grały wybitną rolę w życiu politycznem Anglji. Przy rozstrzyganiu rozmaitych kwestyj ogólnego znaczenia, zdanie ich szanowano zawsze. Rzadko, jednak, uniwersytety te zajmowały jednakie stanowiska i miały równe znaczenie. Jeden wydał więcej poetów i uczonych, drugi więcej mężów stanu. Za Stuartów, Cambridge należał do partji Thorysów, Oksford był jakobińskim i stał po stronie Whigów. Królowie dbali o to, by uniwersytety były dla nich przychylnie usposobione. Jeszcze i dziś pozostały im resztki tego znaczenia, jakie posiadały niegdyś. Oba wzmiankowane uniwersytety mają dążenia wręcz odmienne. W Cambridge nauka języków nowożytnych jest szeroko traktowana i tam też prawa kobiet do wykształcenia uniwersyteckiego zostały najbardziej uwzględnione. W Cambridge „Modern Languaqes Tripos", a kolegia dla kobiet Girtona i Newnhana, zyskały sobie rozgłos wszechświatowy.

Oksford zasklepia się przeważnie w zakresie grecko - rzymskiego wykształcenia i, w ogóle, jest konserwatywniejszy od Cambridge. I w nim, jednak, pod wpływem nieubłaganej konieczności dokonywa się stopniowo szereg reform. Studenci zdają tam dwa rodzaje egzaminów: na stopień „Bachelor of Arts" i tak zwany „with honours", t. j. egzamin fachowy.

Wiek studentów stanowi wybitną różnicę pomiędzy uniwersytetami angielskimi i innymi, np. niemieckimi. Gdy kandydat, wstępujący do uniwersytetu niemieckiego, musi posiadać świadectwo z ukończenia gimnazjum, uniwersytety angielskie wymagają zdania egzaminu dość łatwego, a do 1892 r. w uniwersytetach szkockich poddawano egzaminom tylko tych kandydatów, którzy zamierzali starać się o stopnie akademickie.

W uniwersytetach niemieckich, student na fakultecie filozoficznym musi sam szukać sobie ścieżek, by nie zabłąkać się w masie materjału, nagromadzonego na prelekcjach. W Anglji dzieje się inaczej. Tam uniwersytet czuwa nad każdym krokiem adepta nauki, upewnia się, co pół roku, czy ma spisane wszystko i, czy napisał ćwiczenia; pytają go nawet o treść każdego wykładu, zdanie po zdaniu. Carlyle, który przychylnie zapatrywał się na system niemiecki, odezwał się raz, iż jedynym dobrym uniwersytetem na świecie, jest dobra bibljoteka. Żywego słowa, mimo to lekceważyć nie należy, wywiera ono, bowiem wpływ, jakiego z czytania osiągnąć nigdy nie można.

Pod względem jakości wykładów pojedynczych gałęzi wiedzy, uniwersytety angielskie pozostają w tyle za innymi. Pomiędzy uczącymi nie ma współzawodnictwa i wykład pojedyńczej umiejętności, jest ściśle zmonopolizowany.

Pomiędzy ciałem profesorskiem, a studentami, łączność bywa nader mała. Cały szereg stopni pośrednich, jak: tutozry, fellows i inne, nauczają studentów, lub lepiej mówiąc, popychają ich ku egzaminowi. Profesorowie każdej zimy wykładają krótkie kursy, obrachowane na szeroką publiczność. W Szkocji, podobnie, jak w Anglji, profesorowie nie lękają się żadnej konkurencji i trzymają licho płatnych asystentów, którzy za nich czytają wykłady i robią doświadczenia.

Uniwersytety niemieckie stanowią dziś skończoną w sobie całość. Doszły one do rozwoju odpowiadającego w zupełności wymaganiom tegoczesnym. Być może, iż walka rozpoczęta przeciwko obowiązkowemu wykształceniu gimnazjalnemu, zrobi w nich kiedyś wyłom; do tego, jednak, jeszcse daleko. W Anglji dzieje się inaczej. Reformy, zaprowadzone w ostatnich czasach w Durham w uniwersytecie Viktoria, londyńskim, birminghamskim i w Mason College, świadczą, iż stary system na kolegjach oparty przeżył się i nowy opiera się na większej swobodzie indywidualnej, w czem zbliża się do systemu, panującego w Niemczech.

Oksford i Cambridge spełniły już swe posłannictwo historyczne. Ich wielkie bogactwa (uniwersytet oksfordzki wydaje rocznie miljon funtów szterlingów), oraz mnóstwo dogodności, jakie zapewniają swym wychowańcom, ściągać będą długo jeszcze zamożną młodzież. Mniej, niż za 300 funtów szterlingów (przeszło 3.000 złr.) w Oksfordzie utrzymać się nie można. Warunki te czynią go niedostępnym, zarówno, jak i Cambridge, dla młodzieży uboższej. Zresztą, demokratyzacja wiedzy, rozpowszechniająca się, coraz bardziej, pozbawia stopniowo dawnej świetności te dwa stare miasta uniwersyteckie, które przez długi czas uchodziły za siedliska arystokracji umysłowej.

Życie...

I.

Życie — to droga wiodąca do celu,
Który nam wytknął na początku Bóg!
Drogą tą, jednak, kroczy nas nie wielu,
Gdyż każdy szuka, coraz nowych dróg!...

II.

Życie człowieka, jest pełne goryczy,
Miotane mnóstwem namiętności — burz, —
Ogromem cierpień, których nikt nie zliczy,
Zepsuciem, zgubnem dla tysiąca dusz!...

III.

Życie — nakoniec — to wzburzona rzeka,
Człowiek — łódź błędna, płynąca przez fale —
Fale — to losy każdego człowieka, —
Śmierć — łódź rozbita na podwójnej skale.

Leon Żypowski.

Sztuka przedłużania życia.

Co do długowieczności, podania wszelkich innych narodów zblednąć muszą przed indyjskiemi, a szczególniej przed buddystowskiemi. Podług nich Brahma miał żyć 2.688 miljonów lat, zanim wziął na siebie postać ludzką.

Przejdźmy, jednak, do czasów bliższych. Tu na zasadzie metryk urodzenia i aktów zejścia można już na pewno o długowieczności mówić. Podług tych danych, życie ludzkie przejść może po za lat 100, dojść do 150, a nawet, do lat 200 tn. Korzystając z takich urzedowych danych, twierdzą, iż niejaki Tomasz Parre, anglik, przeżył dziewięciu swoich królów. W 103 roku życia był jeszcze tak rzeźki, iż młócił zboże w stodole, w 120 tym ryku ożenił się po raz drugi, a w 152-gim roku z rozkazu Karola II-go przywieziono go do Londynu. Król ugościł staruszka, co się zowie, ale to, właśnie, stało się przyczyną jego śmierci. Na drugi dzień nie było go pomiędzy żyjącymi. Znakomity lekarz Harvey, dokonawszy sekcji zwłok, znalazł, iż wszystkie organa Parre miał w największym porządku, gdyby więc nie niestrawność, żyłby może tak długo, jak Kentinger, szkot, który zmarł, licząc lat 185.

Stuletni starcy obecnie spotykają się zarówno na północy, jak na południu, spisy ludności, wszakże, wykazały, iż najwięcej ludzi w podeszłym wieku posiadają półwyspy i wyspy, zwłaszcza, jeżeli posiadają miejscowości górzyste. Niziny sprzyjają długowieczności daleko mniej.

Z danych, przytoczonych przez Buechnera, widać, iż kobiety przeciętnie żyją dłużej od mężczyzn. W czasie ostatniego spisu ludności w Niemczech, naliczono 2.055 mężczyzn i 3.330 kobiet, mających więcej, niż 90 lat, w ogóle zaś na 100 stuletnich starców przypada także 155 stuletnich kobiet, a to dlatego, jak wyjaśnia tenże Buechner, iż troski życiowe, wysiłki i niebezpieczeństwa mniej dotykają kobiety, aniżeli mężczyzn. Kto chce, wszakże, przeżyć dłużej, ten powinien się ożenić i im prędzej, tem lepiej. Kto się ożeni, mając lat 30, ma szanse, iż przeżyje jakich lat 11 więcej w porównaniu z kawalerem... Długowieczność potomstwa niemało zależy od długowieczności rodziców. Kto wiele przebywa na świeżem powietrzu, temu sądzono przeżyć dłużej, niż temu, kogo zajęcia jego zatrzymują wśród czterech ścian. Śmiertelność we wsiach pozostaje w stosunku do śmiertelności w miastach, jak 100 : 140. Tak twierdzi dr. Maks Landau.

Co się tyczy stanów i zatrudnień, średnia długość życia ludzkiego wyraża się w następujących cyfrach: duchowni, kapitaliści i wyżsi urzędnicy żyją do lat 65-ciu, kupcy 62, mieszkańcy wsi 61, żołnierze 59, urzędnicy 58, artyści i literaci 57, nauczyciele 56; dalej za nimi idą lekarze. Rzemieślnicy średnio żyją lat 44.

Sztuka przedłużenia życia, bez kwestji, jest najbardziej nęcącą ze wszystkich, doścignąć jej, wszakże, nie udało się dotąd nikomu. Dotychczas nie wynaleziono jeszcze eliksiru długiego życia, ale usiłowania ku zrobieniu czegoś podobnego zdarzały się niejednokrotnie. Szczególniej w wypadki takie obfitowały wieki średnie. Jako osoby działające występowali astrologowie i alchemicy, którzy spekulując na głupocie ludzkiej, wydawali siebie za posiadających sekret przedłużenia życia i tajemnicę swoją sprzedawali na wagę złota. Wśród nich Paracelsus wyróżniał się, jako największy z szarlatanów, którzy kiedykolwiek istnieli. Erazm Rotterdamski obiecywał 1.000, a przynajmniej 600 lat życia, sam zaś nie mógł dożyć lat 50. Mnich alchemik Roger Bakon radził preparaty ze złota, jako najskuteczniejszy środek przedłużenia życia.

Bardzo rozpowszechnionem było mniemanie, iż krew zła, krew zepsuta stanowi przyczynę wszystkich chorób; ztąd tak często praktykowane puszczanie krwi przy chorobach różnego rodzaju, przelewanie krwi zwierząt w żyły człowieka itd. Ztąd też był tylko krok jeden do myśli o zamianie krwi starców na krew młodych zwierząt, albo też młodych ludzi. Jeden z lekarzy próbował takiej transfuzji krwi w żyły papieża Inocentego VIII-go, ale bez skutku.

W końcu zeszłego wieku i na początku bieżącego sposoby przedłużania życia, przyczyniały się raczej do jego skracania. Któż nie zna dziś dobrze płynu Saint Germain'a, eliksiru Cagliostra, wanien Mesmera, że opuścimy inne.

Teraz na porządku dziennym odkrycie prof. Brown-Secquarda i Witalina.

Zapewne, że w obec dzisiejszych wyników nauki, są one inaczej przyrządzane i mogą do pewnege stopnia pobudzać siły — ale, że w rezultacie same przez się życia nikomu nie przedłużą — to nie ulega wątpliwości, a podtrzymanie czasem życia za pomocą sztucznych środków, medycyna prawidłowa zna dawno i zastosowywa takowe.

Ciekawe rzeczy.

Dowcipne sobie, te kobiety! komisarki wystawowe w Chicago. Starały się one, aby minister skarbu Carlisle udzielił im więcej funduszów. Aby go sobie zjednać, urządziły bankiet na jego cześć, zaprosiły go i ugościły doskonale. Pomimo tego minister zapomóżki udzielić im nie mógł. Następstwem tego jest, że szanowne panie komisarki nie zapłaciły za bankiet, który 400 dolarów kosztował, lecz kazały hotelliście ministrowi rachunek posłać i od niego należytość odebrać. Pan Carlisle zapłacił, ale odpprzysiągł się przyjmowania zaproszenia na bankiety kobiet...

Rzeczpospolita Andorry, zwana złośliwie „republiką pasterzy", jest obecnie przedmiotem obiegającej pisma zagraniczne zabawnej anegdoty. Rzeczpospolita posiada podobno jedno jedyne, ale za to wcale okazałe działo, które w swoim czasie sprawiło obywatelom tego państewka niemało kłopotów. Zamówiono tę armatę u Kruppa w Essen, a żądano przy obstalunku, aby miała duże wymiary. Pewnego dnia przybywa olbrzym, mogący rzucać pociski na odległość 18 kilometrów. Postanowiono tedy okazałe to działo ustawić na najwyższym szczycie górskim, aby wszyscy obywatele rzeczypospolitej mogli przekonać się naocznie, iż broni ono doskonale całej doliny, a tem samem i całego państwa. — Niestety, po ustawieniu, zwrócił ktoś uwagę, że działo wcale dotąd nie zostało wypróbowane, niewiadomo tedy, co, istotnie, warte. „Słusznie!" — zawołano chórem i postanowiono owej próby dokonać. Nabito więc armatę, ale w chwili, gdy już miano zakomenderować: „ognia" — przyszło jednemu z obywateli na myśl, że jeśli ma się strzelać, to przecie trzeba postanowić: gdzie się ma strzelać. „Słusznie!" zawołano znów chórem — i tu dopiero nastręczyła się najzawilsza kwestja. Oto przestrzeń rzeczypospolitej Andory rozciąga się tylko na sześciu kilometrach. Strzelać w jedną, lub drugą stronę przed siebie, znaczyłoby tyle, co pustoszyć dzielnice jednego, lub drugiego z sąsiadów, t. j. Francji, lub Hiszpanii. Wówczas ktoś poradził strzelić w górę, w powietrze; na szczęście, jednak innemu z obywateli przyszło jeszcze dość w porę na myśl, iż kula z pewnością spadnie w takim razie na ziemię Andorry i narobi niemałego bigosu! Co tu czynić? Zniszczyć własne państwo, czy też wystrzelić dziurę w ziemi, którego z sąsiadów i sprowadzić przez to wojnę europejską...? Rozważywszy tedy wszystkie te okoliczności postanowiono nie próbować strzałów — i armata stoi dotąd na wzgórzu, nieskalana żadnym, nawet bezdymnym prochem.

Zwalczona duma

przez

Beniczky-Bajza.

Przekład z węgierskiego

(Ciąg dalszy — patrz numer 36 ostatni z r. 1893).

— Bywajcie zdrowi, staruszko? — zawołała do matki Sabiny i szybko wybiegła z chatki, nie spojrzawszy już więcej na Elię, nawet uśmiechu nie rzuciwszy jej na pożegnanie.

— Nasza hrabianka, jest bardzo dumną — zauważyła Elia, goniąc wejrzeniem jej postać. Stara Sabina obojętnie wzruszyła na to ramionami, cała oddana zajadaniu smacznej polewki.

Dora wyżej się wspiąwszy, na zakręcie drogi przystanęła chwilę, spoglądając na dół za siebie. Widok, jaki ujrzała, niezmiernie ją przejął. Wkrótce po tem, po wyjściu z chatki starej matuli, zajechał przed nią skromnym jednokonnym wolantem doktor Germana i wyskoczywszy z niego, żywo coś przed progiem z Elią rozmawiał.

Dora chciała iść dalej, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa: stała, jak gdyby wrośnięta w ziemię. Rozmowy doktora z Elią słyszeć nie mogła, widziała tylko, że porozmawiawszy z nią chwilę, Germana wsiąść jej kazał do swego wolantu, i odjechać, po jej oddaleniu się zaś wszedł sam do chatki matuli Sabiny. Dora, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, napowrót z góry zbiegać zaczęła i w chwilę potem powtórnie do chatki staruszki wstąpiła.

— Dzień, dobry panie doktorze! — zawołała, podając rękę Markowi, który spojrzał na nią z niekłamanem zdumieniem.

— Teraz, o tej godzinie, w samo najgorętsze południe, hrabianka tutaj, na górze?

— A cóż to szkodzi? Już nie jestem chorą — śmiejąc się odpowiedziało dziewczę. — Byłam tam, jeszcze wyżej, już blizko szczytu, spostrzegłszy jednak, że pan tu przyjechałeś, wróciłam.

— I cóż mi pani rozkaże? — zapytał Marek, napowrót przybierając ton suchy i chłodny.

— Chciałam panu powiedzieć... to jest, właściwie, zapytać się tylko: kiedy przystąpimy do budowania szpitala?

— Pani już wiadomo o tym projekcie?

— Jakże miałoby nie być wiadomo? Przed godziną przyjęłam patronat nad przyszłym szpitalem naszym.

— Pani... przyjęłaś patronat?...

— Pana to dziwi?

— W istocie pani... aczkolwiek w zasadzie nie jest to nic dziwnego, ale nie spodziewałem się...

— Po tem, co między nami zaszło? To prawda, mnie samej dziwno, że po dwukrotnem odtrąceniu z pańskiej strony mojej wyraźnej chęci zbliżenia się do nas, jeszcze pragnąć mogę, aby w urzędowych aktach założenia szpitala tutejszego, nasze podpisy stały obok siebie...

— Hrabianko!...

— Nareszcie! Przecież choć raz jeden udało mi się pana wprowadzić w kłopot. A wyznaję szczerze, iż napawa mnie to zadowoleniem, może niezupełnie szlachetnem ale za to w zupełności licującem z wrodzoną mi nienawiścią. Drażnił mnie nad wszelki wyraz ten wieczny spokój, chłód mroźny, ta obojętność, jaką względem mnie okazywałeś... Ja niaprzyzwyczajoną jestem do tego. Pan byłeś jedynym na świecie człowiekiem, na którym czułam, że absolutnie żadnego nie wywieram wrażenia. No, Bogu dzięki! Dziś, przynajmniej, udało mi się, pana, bodaj na chwilę, wywieść z równowagi.

Dora mówiąc to, śmiała się serdecznie dziecinnie, figlarnie, tak, że Germana, który po raz pierwszy ją widział w takim nastroju, nie był w możności oprzeć się jej urokowi.

— Doprawdy, nie przypuszczałem, hrabianko, że pani raczysz zwracać uwagę na ten chłód mój, obojętność i spokój...

— A co, więc pan nie przeczysz istnieniu swych przestępstw. Utrzymujesz tylko, iż nie sądziłeś, abym je dostrzegła. No, wspaniałomyślność. jaką się odznaczam, pozwala mi przyjąć ostatnie to wyrażenie za okoliczność uniewinniającą i dla ustalenia zobopólnej zgody, pierwsza podaję panu prawicę, na znak, że pańskich zniewag od tej chwili na zawsze zapominam i, że je z serca wybaczam.

— Moje zniewagi? — pytał Marko osłupiały, trzymając w swej dłoni drobną rączkę Dory. Jakież one były?

— Nie złożyłam panu formalnej wizyty w Pastro? Czy oddałeś mi ją pan dotychczas? Nie zaprosiliśmy pana do zamku na obiad? Czy nie wymówiłeś się, niby to brakiem czasu, a w rzeczywistości ochoty?

Germana milczał ze wzrokiem utkwionym w ziemię; wyrazista twarz jego, jednak, aż nadto jawnie zdradzała to, co myślał, bo Dora z pustoty dziecinnej przechodząc nagle w powagę, podchwyciła spiesznie:

— O, wiem... Masz pan słuszność. Zaproszenia na obiad nie przyjąłeś, wizyty nie odwzajemniłeś, lecz wówczas, gdy była istotna potrzeba twojej obecności, gdy ze śmiercią walcząc leżałam chora, wówczas po kilka razy na dobę przyjeżdżałeś do nas, z czasem, ani trudem się nie rachując... I czyniłeś to dla mnie, źle wychowanej, niegrzecznej dziewczyny, która panu od samego początku tylko dokuczała. O, to pięknie, szlachetnie było z pańskiej strony!

Jej ciemne, błyszczące oczy były pełne łez; upornie wpatrywała się niemi w doktora, który pod tem spojrzeniem dziwnie miękł. Inne to było podziękowanie, nie takie, jak tamto, które mu hrabia Giovanni nadesłał w postaci dwóch tysięcy lirów...

Marko, zazwyczaj mistrz panowania nad sobą, uczuł się dziwnie wzruszonym; na pełne uczucia słowa Dory, odpowiedział tylko głębokim ukłonem. Stara Sabina patrzała na dwoje młodych ludzi z wielką ciekawością, od czasu do czasu, jakby niechętnie pokręcając głową.

— Pan pieszo powraca do domu? — zapytała nagle Dora, pierwsza przerywając chwilowe milczenie i nieznacznie ocierając dwie śliczne łezki.

— Tak jest, wolant odesłałem naprzód.

— Widziałam, Elia wsiadła do niego i zjechała z góry.

— Pani znasz moją służącą? — zapytał Germana, mimowoli kładąc nacisk na ostatni wyraz.

— Dziś drugi raz ją dopiero widziałam i rozmawiałam z nią trochę — odrzekła Dora, przyczem oboje zstępować zaczęli w dolinę.

— Stworzenie w wysokim stopniu lekkomyślne i nie dotrzymujące słowa — mówił Germana, przyjmując ton surowy. — Otwarcie jej tego przecież powiedzieć nie mogę, że ma płuca w wysokim stopniu zajęte, ale zakazywałem jej już wielokrotnie wspinania się pod górę. Dziewczyna obiecuje, przyrzeka, a mimo to często ją łapie na nieposłuszeństwie.

I odstępujesz jej pan w takich razach swojego faetonu... — dorzuciła Dora. — Powiedz mi pan szczerze, panie doktorze, czy dla wszystkich jesteś tak dobrym, czy też tylko...

Zamilkła, w połowie przerywając zdanie i rumieniąc się aż po szyję. Spostrzegła nagle, że w żaden sposób nie wypada jej dopowiedzieć swojej myśli, że pytanie, które postawić miała ochotę, nie odpowiadało jej osobistej godności.

Germana z wielkim taktem udał, że pierwszych wyrazów przerwanego pytania wcale nie słyszał i o czem innem zagadawszy, szedł zwolna obok pięknej towarzyszki.

Stanęli przy furtce, wiodącej do najodleglejszej części parku. Germana zdjął kapelusz.

— Ale jesteś mi pan jeszcze winien odpowiedź na moje pytanie — rzekła Dora, stojąc w miejscu. — Kiedy zaczniemy budować szpital?

— W możliwie jaknajprędszym czasie, pani — odparł Marko, przyciskając do ust drobną rączkę hrabianki, a czynem tym nietylko dał dowód, że już zupełnie pokój z Dorą zawarł, ale zarazem, prawie że bezwiednie, skradł serce młodej dziewczyny

Rozstali się. Z po za krat parku długo jeszcze spoglądała Dora za oddalającym się lekarzem. Wyniosła, silna jego postać męzka nikła stopniowo i malała, aż znikł zupełnie w miejscu, gdzie droga nagłym zakrętem kryła się po za górą. Wówczas dopiero Dora, rozmarzona i poważna, ale dziwnie zadowolona, wolnym krokiem wróciła do zamku.

VII.

Nazajutrz z samego rana, zanim Germana zdążył, wypiwszy herbatę, podażyć, jak zwykle, do swych chorych, ujrzał zajeżdżającego przed swój domek hrabiego Giovanni.

— Przybywam do pana na chwilę rozmowy, panie doktorze, jeżeli nie przeszkadzam... — rzekł gość, wchodząc do pokoju.

— O, proszę, jestem na pańskie usługi — odparł Germana, podając hrabiemu krzesło.

— Przybywam z ofiarowaniem skromnej sumy na rzecz mającego stanąć szpitala — mówił dalej hrabia, zajmując miejsce. — Chociaż, między nami mówiąc, szczerze byłbym rad temu, aby ten projekt się rochwiał.

— Jakto, panie hrabio? - zapytał zdumiony Markó.

— No tak, doktorze. Szpital w tej nędznej wioszczynie! — to poprostu nie ma sensu. Pieniędzy i trudu zmarnuje się, co nie miara, a skończy się na tem, że takim kosztem wzniesiony gmach będzie stał pustkami.

— Przeciwnie, panie hrabio. Właśnie, dlatego, że ta wioszczyna i wszystkie inne z nią sąsiadujące są tak nędzne — chorych tu nigdy nie braknie; a każdy, choćby najmniej na wszelkich chorobach się znający, przyzna to chyba bez wahanin, że odzyskanie zdrowia w izbie nawpół ciemnej i dusznej, wśród gwaru, hałasu i przy nieumiejętnem pielęgnowaniu — bywa nieraz wprost niemożliwe. Spokój, pożądaną dla chorych ciszę, wentylację i odżywianie — wszystko to naraz zdobędziemy, wystawiwszy szpital.

Hrabia z wyraźnem zdziwieniem popatrzał na doktora, którego inteligentną, śmiałą twarz opromieniał wyraz nadziei, oraz wesołości.

— Powiedz mi pan, panie doktorze — zapytał hrabia nieco protekcjonalnym tonem, jak długo zamierzasz przeciągnąć swój pobyt tu, w Pastro?

— Ściśle odpowiedzieć na to pytanie nie umiem; wiem tylko, że miejsca tego nie opuszczę dopóty, dopóki nie dopnę celu, jaki sobie postawiłem zaraz w samych początkach, rozejrzawszy się tu i poznawszy to miejsce.

— Czy wolno wiedzieć, co jest owym celem?

— Rzecz bardzo prosta, chociaż do wykonania cokolwiek mozolna. Pragnę lud tu-

tejszy uwolnić od nędzy fizycznej, w jakiej tu marnieje, przez co równocześnie spodziewam się, że i na moralną jego stronę dodatni wpływ wywrę. Życie, jakiem oni tu żyją, unicestwia ducha i zabija w człowieku to, co w nim jest człowieczego. Energia, siła woli, ochota do pracy nie może istnieć w chorym organizmie, a przymioty te, w każdym członku społeczeństwa tak pożądane — z pokolenia na pokolenie zanikłyby doszczętnie, gdyby się o tych ludzi nie zatroszczyć.

— I wybrałeś pan sobie Pastro dla dokonania tego umoralniająco - hygienicznego dzieła?

— Czemużby nie, panie hrabio? W Pastro mieszkają tacy sami ludzie, jak w Paryżu i Rzymie.

— Masz pan szlachetne, piękne zamiary; mogę im tylko powodzenia życzyć, a jakkolwiek niebardzo wierzę, w to, ażeby w ogóle wykonalnymi były — ponieważ widzę, że od projektowanego szpitala pan już nie odstąpisz — więc pozwalam sobie zapytać: jakim kapitałem rozporządzasz pan na początek?

— Przeznaczam na to dwa tysiące lirów.

Hrabia nie dał poznać po sobie, że o tem już wiedział.

— Ładna to suma, lecz zdaniem mojem, na wystawienie całego szpitala nie starczy Przywiozłem więc na ten cel drugie dwa tysiące lirów od mojej siostrzenicy, która przyjęła na siebie patronat miłosiernego tego zakładu.

— Od hrabianki Dory... — szepnął Markó nie bez pewnego wzruszenia.

— Tak jest, a moja bratowa podejmuje się dostarczyć tyle łóżek, ile będzie potrzeba w pierwszym roku istnienia szpitala.

Germana podziękował milczącym ukłonem i szybko żegnającego się gościa odprowadził przez ganek.

Wróciwszy do swej pracowni, włożył do biurka pieniądze, ozdobny zaś pugilaresik z inicyałami Dory, zachował przy sobie, poczem, zwyczajem swoim, wsparłszy głowę na dłoni, rozmyślać zaczął o przebiegu rozmowy z hrabią i o tem, jakie mogły być, rzeczywiste, powody jego widocznej niechęci do budowy szpitala.

Aż nadto, bowiem, jasnem było to, że jakkolwiek hrabia przybył, niby w celu wręczenia doktorowi ofiarowanej przez Dorę sumy, to, jednak, nie na żarty usiłował odwieść go od zamiaru wzniesienia szpitala. I czemu? Z jakiego powodu? Markó nie umiał sobie na to odpowiedzieć. Hrabia na usprawiedliwienie swojej niechęci nie przytoczył, ani jednego poważnego argumentu.

Chyba... może czyżby tego lękali się tam, w zamku, aby nie nastąpiło jakieś zbliżenie i, broń Boże, jakaś żywsza sympatja pomiędzy nim i hrabianką?

Uśmiechnął się chłodno, ironicznie.

O, mogą o to być spokojni. Daleko ważniejsze, wyższe ma on cele przed sobą, niż bałamucenie arystokratycznych niewiniątek. On, który tak poważnie myśli, tyle ma przed sobą do zdziałania, miałżeby się zająć tą laleczką?... Ładna, wprawdzie, i miła ta lalka, teraz osobliwie, gdy wdzięcznem serduszkiem na wszelki sposób naprawić pragnie niemądre swe kaprysy dawniejsze; ale człowiek, żywiący takie, jak on zasady— zarówno, jak z kaprysów niewiele sobie robił, tak i łaskami opętać się nie da.

Markó, mówiąc to sobie w duchu, silił się na podbudzenie swej ambicji dumy, mimo to nie mógł stłumić westchnienia, które zupełnie niespodziane z piersi mu się wydarło. Sam sobie nie zdawał jeszcze sprawy z uczucia, które opanowywać go zaczęło, upierał się nie wierzyć temu, ażeby serce mogło tak dalece stanąć w poprzek własnym rozumowaniom człowieka i własnej jego woli...

Hrabia tymczasem, energicznie popędzając konie, niedługo do zamku powrócił. Opanował go zły humor i niewytłómaczona niechęć do doktora Germany. Towarzystwo całe znalazł zebranem w jednej z cienistych, wonią kwiatów przepełnionych alei parku.

Dosłownie powtórzył swoją rozmowę z doktorem, przyczem nie tail niezadowolenia z tego, że nie udało mu się odwieść Germany od zamiaru budowy szpitala.

Relacja ta bardzo różnorodne wrażenie wywarła na obecnych: hrabina krzywiła się, wtórując szwagrowi, dama do towarzystwa wtórowała hrabinie, Felicyta zachowywała neutralność, Dora za to uśmiechała się z tryumfem, a markiz del Sagora nie mógł wytrzymać z radości, tylko przerwał opowiadanie wuja, pokazując białe, zdrowe zęby:

— A co, czy nie mówiłem? On zawsze był taki: i w szkołach, i dzieckiem. Znam go lat dwadziaścia. Nigdy zdania nie zmienia, nigdy się nie cofa! Jak co przedsięweźmie — tego zawsze dokona. A wszystko, czego pragnie i do czego dąży, jest sprawiedliwe, rozumne i dobre. Na wiatr nic nie mówi!

— Ależ ten człowiek gotów rewolucję nam sprowadzić swoją dziwną predylekcją do prostego ludu! — z wcale nieudanym niepokojem jęknęła hrabina.

— Ciociu, obawa całkiem płonna — bronił przyjaciela z zapałem markiz. — Do czego Markó rękę przyłoży — zawsze wszystkim na najlepsze wychodzi!

— Oh, ty bo w nim jesteś rozkochany!

— Bo znam go tak dawno i tak dobrze, iż nie mogę nie oceniać go, jak na to zasługuje. Żal mię tylko ogarnia na widok, że człowiek takich, jak on zdolności, tak głębokiej wiedzy, zagrzebał się tu na tak odległej prowincji, podczas, gdy powołanym się zdaje do odegrania wybitnej roli w największych centrach świata...

(Dalszy ciąg nastąpi).

Teatr — koncerta — widowiska.

Nie żyjemy w warunkach normalnych, a konsekwencje tego, odbijają się na naszej literaturze. Pod łapami cenzury moskiewskiej, siła i twórczość talentów autorskich, ograniczać się muszą — ztąd, w poważnych komedjach, czy dramatach polskich, które liczą na scenę warszawską czuć systematyczne omijanie podkładu, na którym pracuje, myśli i cierpi społeczeństwo polskie. Talent autora zużytkowywa tylko materjał romansowy obwinięty w jakieś tam intrygi, lub coś podobnego — ale stosunków ogólnych, ale kolizyj z nimi, ale wynikających z tego sytuacyj niezmiernie ciekawych, interesujących, pouczających i w bardzo wielu wypadkach, pokrzepiających duszę — ani śladu, bo tego dotykać cenzura rosyjska nie pozwala, ani wprost, ani pośrednio, ani w jakikolwiekbądź sposób...

Względy materjalne, zapewne, odgrywają dość ważną rolę, no i, oczywiście, *locum standi* autora — również, że nie wszyscy autorowie polscy mogą korzystać z tej swobody do pisania, jaka istnieje dla nas poza granicami kordonu rosyjskiego — ale ci, którzy mogą, a mają po temu talent, powinni to zrobić — to, nawet, jest ich patrjotyczno-literackim obowiązkiem... Zrobił to po części Zygmunt Sarnecki, pisarz znany, utalentowany, wytrawny, niepospolity znawca teatru i redaktor *Świata* — zrobił to w najnowszej swojej 4-aktowej komedji: *Urocze oczy*, która w tym czasie po raz pierwszy na scenie lwowskiej wystawioną została. W komedji Sarneckiego, ludzie mówią o tem, co nas otacza, co nas dotyka, co nas boli, co nas przygnębia i, co wyciska rumieńce wstydu na twarzy... Tak jest, bo taki szambelan, hrabia i ich żony, jakich nam autor daje w *Uroczych oczach* są, niestety, postacie prawdziwe, wyrosłe z dzisiejszych stosunków, tam pod warszawskim zamkiem królów polskich, w którym siedzi moskiewski satrapa i błyska kłami.. To nie wesołe, ale, niestety, prawdziwe... A wśród tego wszystkiego, stoi dom polski, rodzina i takie pociski odbijają się od niej, jak obelgi od twarzy świętego, choć mu ją krwawią... I ta rodzina, i ten dom polski, toczą cichą, ale zwycięzką walkę i z polityką „diejateli", i z tendencją szkoły moskiewskiej, i z galanterją dyplomatyczną dygnitarzy rosyjskich, i, nareszcie, z tem, co zepsute wyjątki z pośród nas, z moskiewskiego arsenału, pod dach polski, przynoszą... Taką dodatnią postacią w *Uroczych oczach*, jest kasztelanowa. Odjąć od ust tej kobiety trochę afektacyjnych frazesów i trochę poprawić rysunek sytuacyj, w których działa — to jest typ polskiej kobiety, noszącej w sobie tę siłę odporną, na której się łamią pazury wrogów naszych. Kasztelanowa, jako istotny typ, przynosi zaszczyt talentowi Sarneckiego. Ona, ta kobieta polska, jest prawdziwą bohaterką komedji, bo książę, właściciel „uroczych oczów", zdaniem naszem, jest również ujemnym wynikiem stosunków — nie zepsutym, wprawdzie, jako polak, ale jest próżniakiem ostatecznie, bo stracił to, co miał, nie umie w sobie znaleść środków do uczciwego zarobienia na życie, a za pomocą hypnotyzmu — swoich „uroczych oczów" chce żonę dostać, no, i *comme de raison*, posag.. To zaś, że go autor wysela rehabilitawać się na „drugą półkulę", gdzie „pobiły się dwie respubliki" — nie wiele mu pomoże i, co prawda, jeśli nie wróci do Polski, nic na tem nie stracimy.. Inne postacie w komedji, nawet Terenia, wystawiona na pastwę „uroczych oczów" księcia, i z humorem nakreślona stara panna, i rejent, i amant właściwy, są już, tylko dodatkowemi postaciami — ale rdzenia komedji nie stanowią, choć illustrują tę głęboką prawdę, którą autor ze sceny wybowiedział, mianowicie, że „upadek nawet całej generacji, nie dowodzi jeszcze upadku narodu"... Święta prawda!...

Urocze oczy grano u nas z wielką starannością a przedewszystkiem pani Cichocka, jako kasztelanowa, zaimponowała, po prostu, swoją przepyszną grą, za którą też zbierała serdeczne oklaski i niepodzielne uznanie dla swego talentu. Najważniejszą pod względem charakterystyki rolę szambelana, grał p. Ruszkowski wyśmienicie. Inne role, odegrane zostały z całą starannością i artyzmem — grali je panie: Gostyńska, Czaplińska, Siennicka i Siemaszkowa, oraz panowie: Żelazowski, Chmieliński i Kliszewski. Mniejsze rolki, epizodyczne, grali bardzo starannie pp. Dębicki, Janikowski i inni. Autora, obecnego na pierwszem przedstawieniu, wywołano kilkakrotnie wśród hucznych oklasków na scenę, z której dziękował licznie zebranej publiczności.

Występująca gościnnie na lwowskiej scenie w operze panna Colonese, włoszka, czy hiszpanka, jest sopronistką o niewielkim, ale przyjemnym głosie i, jeśli się tak wyrazić wolno, śpiewa aksamitnie... W *Balu maskowym* dwie partje basowe dzielnie i z niezwykłą werwą muzykalną odśpiewali pp. Kowalski i Zegarkowski. Trudną barytonową partję dobrze i z siłą śpiewał p. Górski. Partja księcia w tej operze, należy do zajlepszych w repertuarze p. Myszugi.

Dawno nie graną sztukę „czarodziejska" p. t. *Studnia artezyjska*, wznowiono na scenie lwowskiej dla popołudniowego repertuaru. Rzecz stara, ale wesoła i poczciwa. Śmiano się też od ucha do ucha, aż się ściany trzęsły. Powabnie bardzo, z życiem, werwą i wdziękiem grała panna Praun sympatycznego chłopaka. Do szczerej wesołości, wyborną grą komiczną pobudzali pp. Feldman i Gasiński.

Pani Kwiecińska po dłuższej niebytności powróciła na scenę lwowską i wystąpiła już w znanych dobrze komedjach: *Korneljusz Voss* i *Świat nudów*. Publiczność przyjęła panią Kwiecińską z wielkimi oznakami zadowolenia. Talent to, jak wiadomo, pierwszej wody, a scena nasza odzyskuje znowu siłę niepospolitą, która w teatrze lwowskim zakiełkowała, wzrosła i... dalej rosnąć będzie.

Praktyczne wiadomości.

Sztuczna hodowla ryb. Nie wszystkie gatunki ryb posiadają siłę mnożenia się w równie wysokim stopniu, w każdym razie, jednak, dochodzi ona do bajecznych rozmiarów. W ogóle, ryby w rodzaju salmonidów (łososiowatych) składają mniej jaj, aniżeli cyprynidy. Ilość pierwszych nie przekracza liczby 26.000, podczas gdy liny mają ich nieraz 70.000 do 80.000, barweny 80.000 do 100.000, karasie 200.000 do 300.000, karpie 300.000 do 800 000, szczupaki 100.000, wizy 300.000, sandacze 400.000, a produktywność sumów i jesiotrów dochodzi do miliona jaj. Utrzymują niektórzy, że gdyby wszystkie jaja, które ryby składają co rok we wszystkich wodach słodkich, wylęgły się, a powstałe z nich potomstwo doroslo do odpowiednich rozmiarów, to wszystkie znajdujące się na kuli ziemskiej wody nie byłyby w stanie pomieścić tych ryb. Ale tej zadziwiającej sile mnożenia się stoi na przeszkodzie wrogie usposobienie człowieka, który zapomocą pośrednich, lub bezpośrednich wpływów, kładzie jej nieprzebytą tamę. Ogołociwszy z ryb od lat dawnych wody płaszczyźniane, prowadzi on dalej dzieło zniszczenia, nie pojmując szkody, jaką wyrządza sam sobie i nie umiejąc ocenić całej doniosłości umiejętnego prowadzenia hodowli ryb. Jedynym prostym, tanim i prędko do celu prowadzącym środkiem naprawienia dotychczasowych strat i wyrwania rybactwa ze stanu, do jakiego doprowadziło go wiekowe niedbalstwo i niedołęstwo człowieka, jest sztuczna hodowla. System ten znany jest i upowszechniony w Chinach od 4 000 lat, i jemu to zawdzięczają one, że dla swej liczniejszej, jak w każdym innym kraju ludności, mają zawsze pod dostatkiem dużo zdrowego i taniego pokarmu. Sposób sztucznego hodowania ryb odkrył w zeszłem stuleciu i zaprowadził po raz pierwszy w Europie niemiec Jakobi, kapitan w wojsku ks. Lippe-Detmold, a później właściciel ziemski, prowadzący hodowlę ryb na wielkie rozmiary; przykład jego nie znalazł, jednak, naśladowców. Dopiero w 25 lat później francuski profesor Coste, rozpoczął z pomocą pana Quatrefages nowe próby z tym wynalazkiem i rozbudził większe zainteresowanie się publiczności. Wkrótce Hünigen w Alzacji, a w szczególności południowa Bawarja i Monachium z towarzystwem rolniczem na czele, wystąpiły z wzorowym przykładem, a rząd cesarski we Francji zaczął od początku gorliwie popierać tę sprawę. Obecnie istnieje już wiele zakładów sztucznej hodowli ryb, a świetne jej skutki znane są zarówno dobrze, jak i smutny stan rybactwa dawniejszego. Dlaczego więc system ten tak ze wszech miar korzystny, nie rozpowszechnił się dotąd ogólnie? — trudno, zaiste, pojąć i chyba tem wytłómaczyć sobie można, że ta gałęź przemysłu nie dosyć jeszcze jest oceniona, a nowy sposób przeprowadzenia jej nie wszystkim jeszcze znany.

Różne sprawy.

„Domowa fabrykacja wódek, kremów, likierów, rumów i araków" — przewodnik dla **wszystkich zebrany i ułożony przez Konrada Niklewicza b. inspektora winnic w Austrji, wyszedł z druku. Książka ta czyni zadość coraz lepiej dziś rozumianej potrzebie podniesienia gałęzi przemysłu domowego, który rozwija się i, coraz bardziej ruguje fabrykaty często fałszowane, a zawsze drogie. Do tej pory nie mieliśmy dzieł traktujących obszerniej o fabrykacji domowymi sposobami wszelkich gatunków likierów, rumów, araków ponczowych esencyj, syropów, ratafij, koniaków i t. d. Lukę tą wypełnia praca p. Konrada Niklewicza. Obok szczegółowych przepisów przygotowywania wymienionych wyżej trunków, znajdujemy w niej nader ciekawe rozbiory tych samych trunków fałszowanych, które są u nas w powszechnem użyciu.**

W dalszym ciągu pożytecznegoo wydawnictwa *Biblioteki Powszechnej*, wychodzącej w Złoczowie, nakładem księgarni Zuckerkandla i syna wyszły z druku: *Balladyna* Słowackiego (dwa tomiki), *Irydjon* Krasińskiego (dwa tomiki), *Damy i Huzary* komedja Fredry (dwa tomiki), *Lutnia i miecz — życie Szandora Petöfiego* Zippera (dwa tomiki).

W Poznaniu nakładem K. Kozłowskiego wyszła powieść p. t. *Z niewoli tatarskiej*. Jest to opowieść ludowa z czasów napadu tatarów na Polskę w XVII. wieku — napisał ją Janek z Grzegorzewic.

Daleko za morzami, bo aż w Filadelfji, nakładem tamtejszej polskiej redakcji *Patrjoty*, wyszedł na rok 1894 *Kalendarz polski Patrjoty*. Zredagowany jest umiejętnie z zastosowaniem do potrzeb ludności polskiej w Ameryce — szkoda tylko, że redakcja kalendarza w nekrologjach, dopuściła się grubych błędów, jak n. p. ogłosiła śmierć księcia Adama Sapiehy i Seweryny Duchińskiej — którzy żyją do obecnej chwili — daj Boże, jak najdłużej!...

Do naszych czytelników

Rozpoczynamy *siedmnasty rok* naszego wydawnictwa.

Poczynając od Nowego Roku wydawnictwo nasze zreformowaliśmy tak:

Wesoły Knrjerek wychodzić będzie, jak dotąd: 1. i 15. każdego miesiąca i natychmiast ekspedjować się będzie prenumeratorom — zaś *Goniec i Iskra* wychodzić będzie 8. i 23. każdego miesiąca z natychmiastową ekspedycją — oprócz tego w każdym miesiącu prenumeratorowie otrzymają osobny *dodatek powieściowy*.

W roku bieżącym drukować będziemy w *Gońcu i Iskrze*: ***Krew ludzka*** powieść Consciens'a z francuskiego i flamandzkiego tłómaczona; ***Zemsta***, powieść z włoskiego i ***Mańka***, oryginalna powieść Kazimierza Malczewskiego.

Drukująca się obecnie powieść: „Zwalczona dumaˮ ukończoną zostanie w lutym i w tymże miesiącu zaczną się drukować *nowe* powieści — nadto, liczne działy pisma, przy rozszerzonem współpracownictwie, będą bardzo ożywione, interesujące, ciekawe i pouczające również, jak i dział illustracyj.

Wesoły Kurjerek ze szczególną starannością redagowany będzie i z pewnością życiem, werwą i dowcipem nie da się wyprzedzić.

W roku przyszłym, mianowicie w marcu, przypada *stuletnia* rocznica *Kościuszkowskiego powstania*. Otóż, wszyscy prenumeratorowie *Gońca i Iskry* wraz z *Wesołym Kurjerkiem*, bez wyjątku, otrzymają w miesiącu kwietniu 1894 r., jako *premium bezpłatne* dużą rycinę przedstawiającą **wszystkich hetmanów polskich aż do Tadeusza Kościuszki** włącznie. Rycina ta na ładnym papierze, obejmować będzie *trzydzieści pięć* portretów w historycznie wiernem odzieniu i uzbrojeniu, a zostanie tak wykonana wśród emblematów narodowych i takiej wielkości, że oprawiona w odpowiednie ramy, będzie stanowić piękny pamiątkowy obraz na ścianę dla każdego domu polskiego — Nadto, nowi prenumeratorowie *Gońca i Iskry* wraz z *Wesołym Kurjerkiem*, którzy opłacą **półroczną** prenumeratę, oprócz powyższego premium. otrzymają drugą premję natychmiast *bezpłatnie* franco: powieść w formacie książki p. t. **Bez szczęścia** przez M. Dzikowskiego-Chamskiego.

Płacący prenumeratę **za cały rok** z góry, oprócz dwóch powyższych premij. otrzymają jeszcze bezpłatnie franco natychmiast trzecią premję, mianowicie: **Klejnoty humoru, satyry i dowcipu polskiego** *illustrowane*.

Cena prenumeracyjna tak krajowa, jak i zagraniczna, umieszczona jest pod głównym tytułem.

Prenumeratę i wszelkie należytości najdogodniej przesełać *przekazami pocztowymi*, albo w *listach pieniężnych*, lub *rekomendowanych* pod adresem:

Administracja „Gońca i Iskry" we Lwowie, *nllca Kraszewskiego 23.*

Wszystkich dotychczasowych naszych prenumeratorów najuprzejmiej i naujsilniej prosimy, aby zechcieli tak zaległą, jak i bieżącą prenumeratę odsełać spiesznie i nie zmuszać nas do osobnego przesełania rachunków i upominania się o wyrównanie takowych. Prosimy pamiętać o tem, że patrjotyczna praca redakcji pisma polskiego zasługuje na obywatelskie poparcie, a wyrządzanie jej krzywdy w jakikolwiekbądź sposób, jest potępienia godne i niczem się usprawiedliwić nie da.

Redakcja i Administracja
„Gońca i Iskry"
wraz z **„Wesołym Kurjerkiem"**
we Lwowie.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Zdzisław. „Kwiat miłości" nie będzie drukowany — drugi wiersz w *Kurjerku*.

Gi. w C. Nie możemy.

Panna Zuzanna. „Rano wstane" — nie będzie drukowane.

Liliput. Rzeczywiście lilipucia robota.

Prenumerator z Chicago. Wprost należy się zgłosić do p. Marchwickiego, który jest głównym dyrektorem wystawy.

Pan Verständig, zarządca młyna w Rzeszowie. Winien nam pan jesteś 4 złr. Zechcesz pan tę należytość odesłać.

Panom prenumeratorom w Szczakowej. Kalendarza nie wydajemy, jak dotąd, żadnego — ale dajemy naszym prenumeratorom premie stosownie do wysokości opłaconej prenumeraty. Prosimy uważnie przeczytać artykuł, umieszczony w *Gońcu i Iskrze* „Do czytelników naszych", a ten dostatecznie szanownych panów objaśni, jak i każdego.

Nadesłane.

Antoni Studencki

w Żywcu.

Poleca swój **Handel towarów korzennych, żelaznych, farb lakierów i skład mąki,** oraz wyborne mięso, z własnej jatki, po cenach bardzo umiarkowanych.
6025 3—1

Pierwszy katolicki skład mebli

Antoniego Kluza

w Rzeszowie.

Poleca w największym wyborze własnego wyrobu meble, wykonane z malerjału doborowego w rozmaitych stytach, posiada również wielki wybór wyrobów koszykarskich, skład trumien metalowych i drewnianych, a także dla pogrzebów wysела własny karawan.

Ceny bardzo umiarkowane.
6024 3—1

Nowo urządzony

Handel towarów korzennych win i delikatesów:

HENRYK WONSCH

w Przemyślu, rynek l. 26

6023 poleca: 4—1

wielki wybór win austryjackich, węgierskich, reńskich, francuskich, hiszpańskich i szampańskich — porter angielski, cognac francuski, wszelkiego rodzaju rozolisy i likiery z fabryk krajowych i zagranicznych.

Jadwiga Kotlarska

w Żywcu,

poleca Szanownej P. T. Publiczności urządzone z wielkiemi wygodami **łazienki** obejmujące kąpiel parową, zimne natryski i wanny. Kąpieli używać można *od godziny 8. rano do 9. wieczór.* — Oprócz łazienek polecam również własną **restaurację,** urządzoną z komfortem, którą osobiście prowadzę. Wszelkie napoje, jak i potrawy obliczam wedle najniższych cen miejscowych.

6020 2—1 Z poważaniem
Jadwiga Kotlarska.

Zaproszenie do przedpłaty

na

„Ziemianina."

Cena zniżona — Rok 44.

Ziemianin, Tygodnik rolniczo-przemysłowy, wychodzi, co sobotę w Poznaniu w formie wielkiego arkusza do $1\frac{1}{2}$ arkusza druku, często z rycinami.

Pismo poświęcone sprawom ekonomicznym wiejskim, wszelkim gałęziom rolnictwa i przemysłu rolniczego, oraz hodowli inwentarza żywego. Do koła współpracowników należą najlepsze siły naszych praktycznych i naukowo wykształconych gospodarzy i pisarzy rolniczych.

Skład główny na Galicję, w księgarni pp. Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, przy placu katedralnym. Cena tamże 6 złr. rocznie, kwartalnie 1 złr. 50 ct. włącznie kosztami przesyłki. — Kto przeseła prenumeratę wprost do Redakcji w Poznaniu, plac Piotra nr. 4, otrzymuje pismo za **5 złr** rocznie, półrocznie **2 złr. 50** ct. *pod opaską regularnie.*

Redakcya „Ziemianina" w Poznaniu
Plac Piotra nr. 4 I. piętro.

I. K. Nieczajewski

elektro-technik

w Rzeszowie, ul. Łyczakowska l. 349

urządza telefony, dzwonki elektryczne, elektryczne światło, gromochrony — oraz ma na składzie wszelkie przybory elektryczne, jakoteż wykonywuje wszelkie reparacje w zakres ten wchodzące, po przystępnych cenach.
6022 2—1

Zakład artystyczno-ślusarski

Józefa Goreckiego

w Krakowie, ulica Dajwor l. 6.

Przyjmuje tak w miejscu, jak i na prowincję wszelkie zamówienia w zakres tego zawodu wchodzące.

Specjalnie wykonuje roboty artystyczne, jakoto: balkony, galerje, balustrady, sztachety i bramy, kratki ozdobne, krzyże grobowe postumenty, pawilony i schody żelaznej konstrukcji, kandelabry, świeczniki i latarnie do oświetlenia gazem, elektryką, lub naftą, lichtarzyki ręczne i wszelkie inne roboty filigranowe.

Ceny znacznie niższe od zagranicznych podaje w kosztorysach od wagi 1 klg. od bieżącego metra, albo od sztuki, wraz z dostawą kolijową i z umontowaniem na miejscu przeznaczenia. (5845-12-5).

Fabryka papieru A. Karger

w Aloisthal nad Morawą.

Skład i jeneralna reprezentacja:

Adolf Fluss we Lwowie, ul. Ormiańska,

poleca wszelkiego rodzaju najlepszej jakości papiery: drukowe, do pakowania i tektury, po **najprzystępniejszych cenach**, tak w mniejszych, jak i większych ilościach.

Całymi wagonami najtaniej.
(5945-4-2).

Pierwsza w Krakowie

Parowa fabryka stolarska

Braci Muranyi

przy ulicy Dajwor. (5749-5-4)

Fabryka przy pomocy najlepszych systemów maszyn, do najróżnorodniejszego obrabiania drzewa, wzorowo urządzonej suszarni, oraz znacznego zapasu materjałów nabywanych z pierwszej ręki — wykonuje wszelkie roboty stolarskie, jakoteż posadzki cegiełkowe, deseniowe i fornierowane w jak najkrótszym terminie, z doborowego i suchego materjału i po najprzystępniejszych cenach.

Krajowy wyrób korków katalońskich i francuskich

J. LACHTA

5884-6-4 **Lwów, ul. Strzelecka l. 4**

poleca Szanown. P. T. Publiczności własny wyrób korków wszelkiego rodzaju, w najlepszej jakości, po najtańszych cenach. Również koła korkowe do mielenia prosa, ramy, płyty, podkładki do bucików i podeszwy korkowe, tudzież wielki wybór kapsli do flaszek i laku po cenach fabrycznych.

Cenniki na żądanie posyłam bezpłatnie.

Łaskawe zlecenia z prowincji uskutecznia się odwrotną pocztą.

Dom Bankowy i Kantor wymiany

M. KLARFELD

we Lwowie, przy ulicy Hetmańskiej l. 6,

kupuje i sprzedaje (5930-8-3).

wszelkie papiery wartościowe i monety

po kursie dziennym, bez doliczania prowizji.

Przyjmuje także zlecenia dla giełdy wiedeńskiej i berlińskiej. Wszelkie papiery wartościowe wylosowane, tudzież płatne kupony, przyjmuje za gotówkę bez wszelkiego potrącania.

Zlecenia z prowincji uskuteczniają się odwrotną pocztą.

Fryzjer z Ameryki!

Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, że z dniem dzisiejszym otworzyłem w Przemyślu przy ulicy **Mickiewicza pod l. 104** (naprzeciw Hotelu Przemyskiego).

Salon Fryzjerski i Perukarski,

który urządziłem z największym komfortem na sposób amerykański.

Abonament na golenie i strzyżenie, oraz brzytwy do obciągania przyjmuje się.

Spodziewając sie, że potrafię Szanowną P. T. Publiczność moją rzetelną pracą pod każdym względem zadowolnić, kreślę się z szacunkiem:

M. Wilkenfeld
6018 4—1 fryzjer z Ameryki.

Piotr Chrząstowski

handel wyrobów żelaznych

i hurtowny magazyn dla

„Kółek rol iczych"

Lwów, plac Kapitulny l. 1

(naprzeciw Katedry)

poleca w wielkim wyborze: wyroby nożownicze z fabryk angielskich, styryjskich i z Solingen. — Najdoskonalsze narzędzia dla wczystkich rzemiosł i i dyletantów. — Materjały, okucia meblowe, okucia do budowli. — Kłódki i zamki sztuczne, wagi i miary metryczne. — Artykuły dla gospodarstw wiejskich. — Artykuły do domowego i kuchennego użytku itp.

Łyżwy rozmaitych systemów.

Skład hurtowny wyrobów kowalskich sułkowskich.

Skład hurtowny kió dek świątnickich.
5988 2—2.

Lekarz chorób kobiecych i akuszer:

Dr. Karol Stanowski

po dłuższej praktyce na klinice położniczej prof. Rubeski w Pradze

osiadł we Lwowie

i ordynuje przy ul. Sykstuskiej l. 19, II. p.
(w domu p. Landaua)

od godziny 3 do 5 po południu.
(5868-6-7)

Wyrobu

Kazimiery Matczyńskiej

Pasztet

w puszkach glinianych po 1·50 pół kilo; w blaszanych lutowanych, po różnych cenach.
—— (5865-st.-10)

Buljon

z ptactwa i drobiu 1 klg. 10 zł.
Nr. 00 z truflami 1 klg. zł. 7·50
Nr. 1. przedni . 1 klg. zł. 6·50
Nr. 2. doskonały 1 klg. zł. 5·50

Ekstrakt mięsny

po 70 ct. słoik

sprzedaje

Zarząd dworu Łapszyn
poczta *Brzeżany.*

Cukiernia pod firmą

Marjan Gosławski

w Brzeżanach,

poleca wszelkie wyroby, w zakres cukierniczy wchodzące, jako to: *cukry, ciasta, torty, konfitury i pierniki,* po cenach umiarkowanych. Wszelkie zamówienia uskutecznia, o ile możności, spiesznie i rzetelnie.
5882-6-2

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.
Illustracje odbite w litografji A. Plutera we Lwowie, ulica Kopernika l. 17.